WTOREK

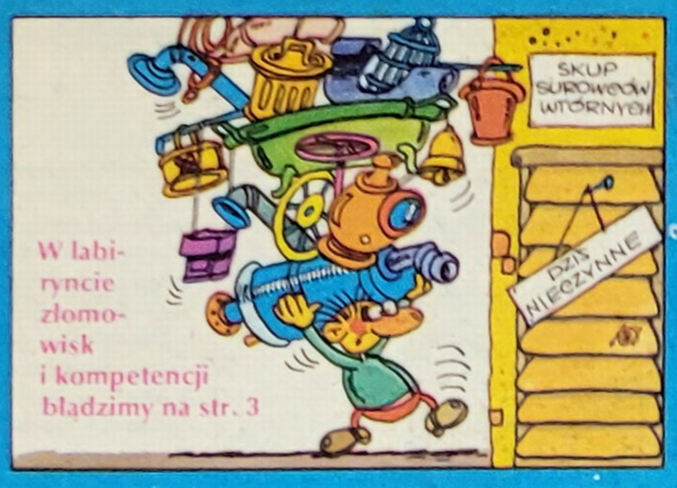

W labiryncie złomowisk i kompetencji błądzimy na str. 3

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 26 1 MARCA 1977 R CENA 1.50 ZŁ

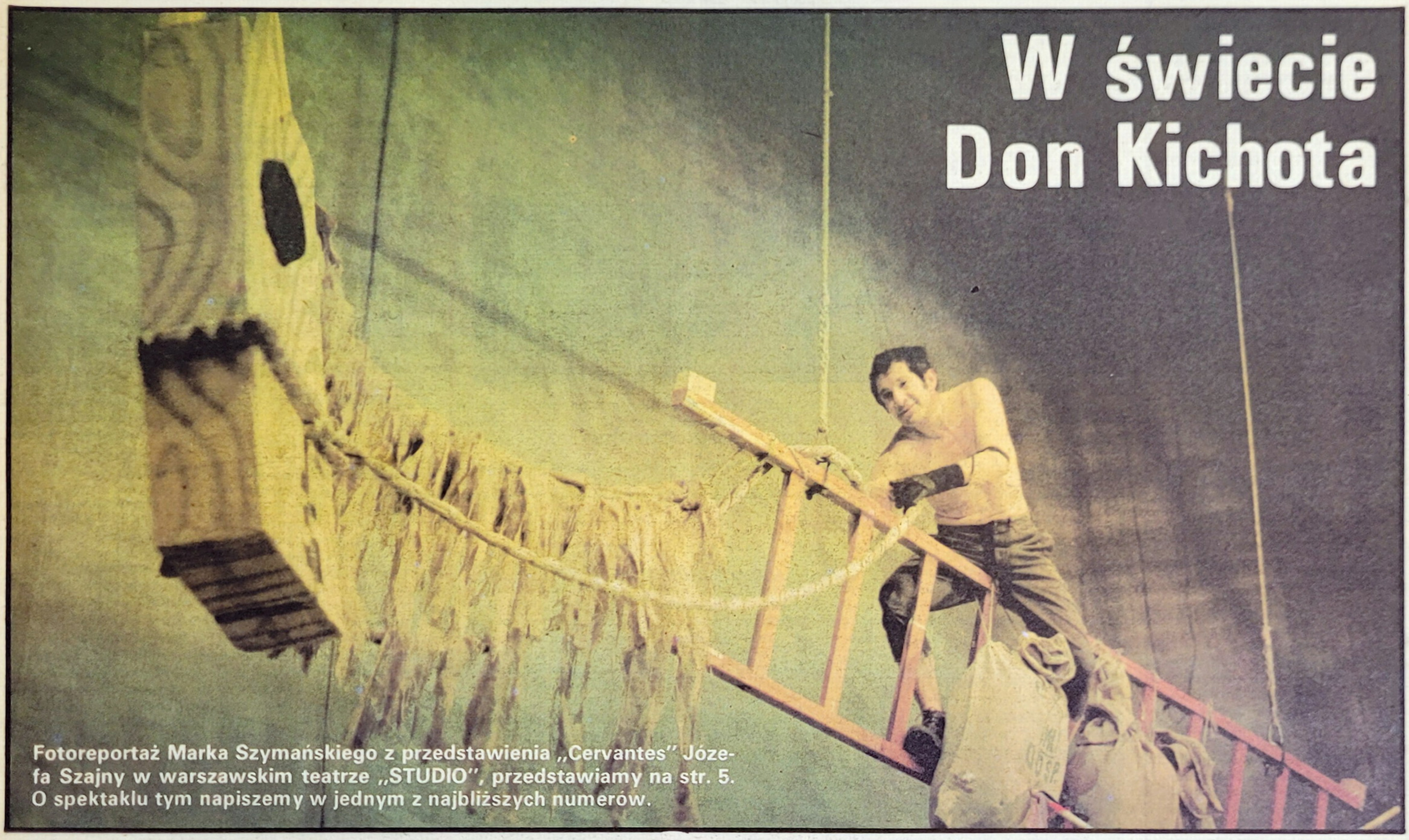

W świecie Don Kichota

Fotoreportaż Marka Szymańskiego z przedstawienia „Cervantes" Józefa Szajny w warszawskim teatrze „STUDIO", przedstawiamy na str. 5. O spektaklu tym napiszemy w jednym z najbliższych numerów.

CO DALEJ ÓSMA KLASO

OD DZIŚ TELEFON 21-47-06 ODPOWIADA NA PYTANIA!

Redakcja „Świata Młodych" uruchamia od dziś specjalny telefon dla wszystkich, którzy mają kłopoty z wyborem zawodu. Jeśli nie wiesz, gdzie znajduje się interesująca Cię szkoła? Masz kłopoty z podjęciem decyzji. Chcesz upewnić się, czy dokonałeś trafnego wyboru. Zadzwoń pod numer 21-47-06 (Warszawa) od godz. 15,00 do 17,00.

Telefon będzie czynny we wtorki – 1, 8, 15 marca i w czwartki – 3, 10, 17 marca br.

Zwracamy się z prośbą do dyrektorów szkół, by umożliwili uczniom skorzystanie ze szkolnego telefonu. Chcemy, by każdy, kto ma kłopoty z wyborem zawodu mógł do nas zadzwonić.

Skorzystaj z okazji! Dziś od 15.00 czekamy na Wasze telefony.

Uwaga zespoły uczestniczące w hokejowym turnieju „Świata Młodych" o puchar PZHL!

TURNIEJ HOKEJOWY ŚM

- **4 marca upływa termin nadsyłania wykazów rozegranych spotkań. O ich ważności decyduje data stempla pocztowego.**
- **Każdy wykaz powinien być potwierdzony podpisami kapitana i opiekuna drużyny oraz pieczątką dowolnej instytucji. Do wykazów należy dołączyć zaświadczenie, stwierdzające, że wszystkie mecze odbyły się na lodowisku uzyskanym przez wylanie wody na utwardzony grunt. Podpisy i pieczątka jak przy wykazie.**
- **Finał krajowy odbędzie się 20 marca na sztucznym lodowisku Wojewódzkiego Ośrodka Sportu i Rekreacji w Siedlcach. Udział w nim wezmą cztery zespoły wyłonione drogą losowania. Wszelkie koszty związane z przejazdem i pobytem na imprezie pokrywa redakcja. Efektowny puchar ufundowany przez PZHL czeka na zwycięzcę.**

Pod Tarnowem powstanie harcerskie miasteczko

TARNÓW (HSI). Wspólnym wysiłkiem harcerzy i zakładów pracy powstanie w podtarnowskiej miejscowości Piaski-Drozków ośrodek szkoleniowo-wypoczynkowy Tarnowskiej Chorągwi ZHP. Pierwsze złotówki na otwarte niedawno konto „harcerskiego miasteczka" wpłacili uczniowie i harcerze ze Szkół Podstawowych nr 6 i 7 w Tarnowie. W czasie jednego tylko popołudnia zebrali oni i odstawili do punktów skupu 6.180 kg złomu, 3.720 kg makulatury oraz 450 butelek. Ten swoisty rekord udało się im osiągnąć dzięki życzliwości mieszkańców, którzy nie skąpili niepotrzebnych gazet i przedmiotów metalowych. **(mh)**

Na trzcinowej tratwie przez Morze Czarne

ZSRR (PAP). Jakiego surowca używano do budowy statków w czasach starożytnych? Dokumenty archiwalne wspominają m. in. o zwykłej trzcinie. Grupa studentów Uniwersytetu z Dniepropietrowska postanowiła udowodnić, że wyprawa na trzcinowej tratwie przez Morze Czarne może udać się i dziś. Po licznych konsultacjach ze specjalistami przystąpili oni do budowy żaglowca. W przyszłym roku 7-osobowa załoga wyruszy w rejs. Wśród uczestników przedsięwzięcia znajduje się jeden z członków słynnej wyprawy Thora Hayerdahla na tratwie „Ra", lekarz i dziennikarz – Jurij Sienkiewicz. Trzcinowy statek radzieckich studentów otrzyma imię egipskiego boga słońca – Amona. **(mh)**

Co słychać u przyjaciół?

RÓŻA DLA HEIKE

(NRD). Mamy my tzw. Odznakę Niezawodnych, mają pionierzy z NRD jej odpowiednik – Odznakę Róży. Otrzymać ją może każda dziewczyna i chłopak, którzy swą postawą i postępowaniem dowiedli, że można na nich w każdej sytuacji liczyć, że przechodząc obok kogoś potrzebującego pomocy na pewno się zatrzymają. Taką „różę" otrzymała niedawno Heike Seidel, uczennica VI klasy z Graupa k/Gemurmel. Heike ogromnie była zdziwiona, gdy tylu dorosłych ludzi zebranych w największej sali ratusza w Gemurmel dziękowało jej. „To przecież normalne – powiedziała – że od trzech lat codziennie odwiedzam panią Große. Ona ma już 84 lata i nikogo bliskiego. Ktoś przecież musi przynieść jej zakupy pomóc w sprzątaniu mieszkania, poczytać gazetę." **(ek)**

Na politycznej scenie:

Twarde „nie" Izraela

Państwa Bliskiego Wschodu w ciągu kilku ostatnich dni były terenem szczególnie ożywionych konsultacji dyplomatycznych. W kilku stolicach arabskich i w Izraelu rozmowy polityczne prowadził sekretarz generalny ONZ; odbyło się kilka spotkań przedstawicieli krajów arabskich i organizacji Wyzwolenia Palestyny. W dyplomatyczną podróż w ten rejon świata udał się sekretarz stanu USA.

Jaki jest cel tych negocjacji? Przede wszystkim chodzi o zbadanie możliwości ponownego nawiązania genewskich rozmów pokojowych. Podstawowym problemem spornym jest sprawa reprezentacji narodu palestyńskiego. Izrael kategorycznie przeciwstawia się udziałowi w rokowaniach delegacji palestyńskiej, mimo że Organizacja Wyzwolenia Palestyny uznana została za jedynego przedstawiciela narodu palestyńskiego. Milczeniem skwitowano w Izraelu ostatnie propozycje palestyńczyków, którzy wyrazili gotowość utworzenia swojego państwa tylko na obszarach zachodniego brzegu Jordanu i strefy Gazy.

Izraelscy dyplomaci bardzo chłodno przyjęli sekretarza generalnego ONZ, który opowiada się za sprawiedliwym rozwiązaniem konfliktu bliskowschodniego z udziałem delegacji palestyńskiej. W Tel Awiwie stwierdzono, że ONZ nie może odgrywać żadnej pozytywnej roli w nawiązaniu dialogu pomiędzy stronami konfliktu. Funkcję pośrednika mogą odgrywać – zdaniem przedstawicieli rządu izraelskiego – tylko Stany Zjednoczone.

Jednakże USA prowadzi bardzo dwuznaczną politykę na Bliskim Wschodzie. Ostatnia podróż sekretarza stanu USA ma wprawdzie służyć jedynie zorientowaniu się w gąszczu problemów bliskowschodnich, niemniej jednak, padło oświadczenie, że Stany Zjednoczone nie zgodzą się na uczestnictwo delegacji OWP w rozmowach genewskich. Amerykański sekretarz stanu poparł także izraelskie żądanie wycofania oddziałów tzw. Arabskiego Korpusu Bezpieczeństwa z południowego Libanu. Posunięcie to daje wolną rękę tym wszystkim, którzy pragnęliby zniszczyć znajdujące się właśnie w tamtym rejonie ostatnie skupiska zbrojnego ruchu Palestyńczyków. Z drugiej strony amerykańską odmowę dostarczenia Izraelowi specjalnych bomb lotniczych o ogromnej sile rażenia można traktować jako nieśmiałą próbę wywierania nacisku na ten kraj.

Jak dotąd bliskowschodnie rozmowy polityków nie przyniosły żadnego rezultatu; mówi się nawet o przesunięciu o kilka miesięcy terminu wznowienia konferencji genewskiej. A w polityce liczą się przecież przede wszystkim fakty. (kp)

Dostaję do rąk mały marokański banknot. Na jego odwrocie grafik umieścił rysunek jakiegoś zakładu przemysłowego.

– Ta fabryka – uprzedza moje pytanie przedstawiciel „Polimexu-Cekopu" – została zaprojektowana i wybudowana przez polskich specjalistów. Była to pierwsza marokańska cukrownia. Dlatego jej wizerunek umieszczono na banknocie.

W Maroku znów mówi się o Polakach. Na południu kraju, w niewielkim porcie Safii, nasze ekipy kończą budowę 3 wielkich fabryk kwasu siarkowego – każda rocznie produkować będzie 500 tys. ton tego niezbędnego dla przemysłu chemicznego surowca. Są one częścią wielkiego kombinatu nawozów sztucznych, który powstaje w Safii.

Maroko to tylko jeden z klientów „Polimexu-Cekopu" – naszej największej centrali handlu zagranicznego, która zajmuje się szczególnie skomplikowaną dziedziną handlu, jaką są transakcje kompletnymi obiektami przemysłowymi.

Polskie specjalizacje

„Polimex-Cekop" – czyli cukrownie i fabryki kwasu siarkowego. To skojarzenie niemal już automatyczne. Uzupełnijmy je kilkoma faktami.

● Eksport cukrowni rozpoczęliśmy przed 20 laty od dostawy małego zakładu do Chin. Dziś w ciągu kilkudziesięciu miesięcy stawiamy cukrownie o zdolności przerobu na dobę 6 tys. buraków. Za granicą pracuje już 50 cukrowni zbudowanych przez Polaków (w kraju jest 77 takich fabryk). Nasi specjaliści osiągnęli w tej dziedzinie najwyższy poziom światowy. Cukrownia zbudowana w greckiej miejscowości Xanthi w specjalnym konkursie dla tego typu zakładów uzyskała tytuł „Miss Europa".

● Sprzedaż wytwórni kwasu siarkowego zaczęliśmy od małych fabryk o wydajności 100 tys. ton. Kupował je od nas Związek Radziecki i inne kraje socjalistyczne. Obecnie w Kraju Rad pracuje 30 polskich fabryk kwasu siarkowego. Produkują one tyle, ile łącznie wytwarza się w Wielkiej Brytanii i Francji. Prawdziwym szlagierem stała się fabryka kwasu siarkowego w Duisburgu (RFN). Polskie brygady zmontowały ją w rekordowo krótkim czasie, stosując supernowoczesne metody. Całkowicie zautomatyzowały zakład (4 ludzi na jednej zmianie) dostarcza rocznie 300 tys. najlepszego w RFN kwasu siarkowego.

Efektowne wizytówki. Ale mało kto wie, że również w kilku innych dziedzinach „Polimex-Cekop" (a więc i polski przemysł), to światowa potęga. Bo czy wiecie np. o tym, że za granicą pracuje już 17 hut szkła zbudowanych dzięki polskim dostawcom? Ostatnio zakład wytwarzający szkło okienne budowany jest w La Paz w Boliwii.

Niewiele się też mówi o polskim eksporcie maszyn papierniczych, a w tej dziedzinie jesteśmy w ścisłej czołówce światowej, jako że w naszym kraju wytwarza się ok. 5 proc. światowej produkcji tego typu urządzeń. Specjaliści przewidują, że dla polskich maszyn papierniczych otwierają się duże perspektywy zwiększenia eksportu.

Równie mało wiemy na temat eksportu polskich fabryk płyt drewnopodobnych tzw. płyt pilśniowych, wiórowych itp. Sprzedaliśmy ich już ok. 100. Jedna trzecia wytwórni płyt pilśniowych, jakie w ciągu ostatnich 15 lat powstały na świecie, zmontowanych zostało z urządzeń dostarczonych przez Polskę. Rozpoczęliśmy też eksport fabryk płyt, które wykorzystują jako surowiec odpady z trzciny cukrowej, bawełny, liści palmowych. Są to zakłady bardzo atrakcyjne dla potencjalnych klientów z krajów rozwijających się.

„Polimex-Cekop" oferuje także kompletne fabryki produkcji materiałów budowlanych – np. cegły silikatowej, cementownie, cegielnie, wytwórnie spożywcze, drożdżarnie, browary, rzeźnie, chłodnie, stacje uzdatniania i oczyszczania wody.

Mapa handlowych kontaktów „Polimexu-Cekopu" obejmuje prawie cały świat: od Indonezji po Boliwię. Ale najczęstszymi klientami są kraje basenu Morza Śródziemnego oraz Środkowego Wschodu. Coraz odważniej wkraczamy też na rynki krajów Ameryki Łacińskiej i Afryki. Za granicą pracuje już ponad 400 fabryk, a w 20 krajach powstaje 100 dalszych zakładów.

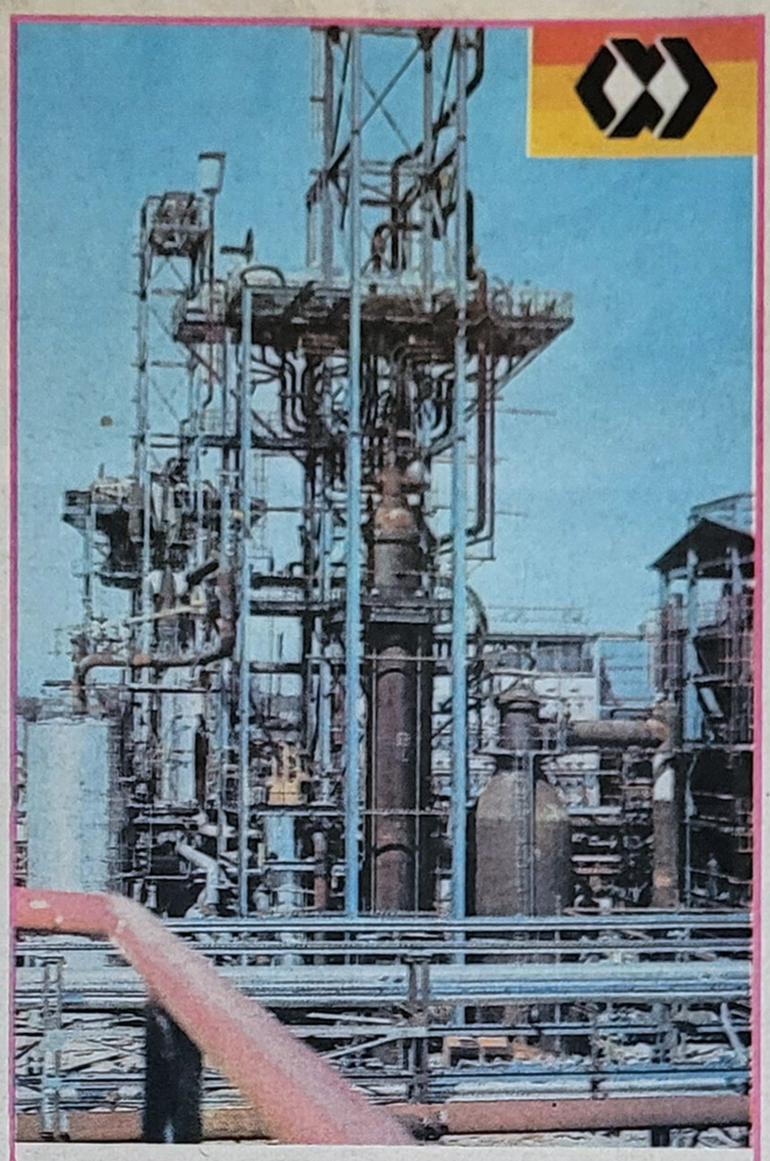

SPRZEDAĆ FABRYKĘ

Rozwinięcie na taką skalę eksportu kompletnych obiektów przemysłowych było możliwe z dwóch powodów. Pierwsze doświadczenia zdobywaliśmy budując zakłady przemysłowe w kraju. Ale na rozwoju wielu fabryk dostarczających maszyny i urządzenia zaważyły wielkie zamówienia składane przez ZSRR i kraje socjalistyczne. Opłacalna stała się ich rozbudowa oraz stworzenie szerokiego zaplecza naukowo-badawczego, biur konstrukcyjnych i projektowych.

ZSRR jest do tej pory największym kontrahentem „Cekopu". U naszych wschodnich sąsiadów pracuje już 231 fabryk „Made in Poland", a trwają dostawy urządzeń do 30 następnych.

Jak zdobyć zamówienie?

Dróg jest sto. Najczęściej trzeba wygrać przetarg organizowany przez rząd danego kraju, lub jakieś przedsiębiorstwo. Ogłaszane są warunki, jakie ma spełniać nowy zakład przemysłowy i firmy, które gotowe są taką fabrykę wybudować – zgłaszają swoje oferty. Najlepsza wygrywa. To pierwszy sposób.

Zamówienie można też uzyskać dzięki – jak to się określa w żargonie handlowym – „penetracji rynków". To po prostu rozpoznanie potrzeb, jakie ma interesujący nas kraj, jego planów rozwoju. Informacje na ten temat nadsyłają rozsiani po całym świecie pracownicy polskich misji handlowych, uzyskują je przedstawiciele i pracownicy „Polimex-Cekop" w czasie wyjazdów zagranicznych. Dodajmy do tego różnego rodzaju spotkania handlowców, targi, seminaria z udziałem specjalistów, reklamę. Cały wielki aparat handlowy szuka możliwości zdobycia zamówienia.

Od przyjęcia oferty do podpisania kontraktu droga jeszcze daleka. Średnio od 1 do 3 lat. Czas ten wypełnia uzgadnianie tysięcy najdrobniejszych szczegółów, uwzględniane są dodatkowe życzenia klienta. I nie tylko – bo trzeba przecież dokonać niezbędnych zmian w wielu urządzeniach, choćby np. ze względu na warunki klimatyczne, w jakich będą pracować, rodzaj surowca. Przygotować trzeba dziesiątki niewielkich, ale pracochłonnych modyfikacji sprzętu, aż do najdrobniejszych szczegółów. Bo nie ma dwóch jednakowych zakładów. Ustala się też mnóstwo różnorodnych kwestii prawnych, administracyjnych i finansowych. W tych dyskusjach oprócz handlowców biorą udział inżynierowie z polskich zakładów, które będą dostarczać urządzenia, specjaliści z biur projektowych, ekonomiści. Dziesiątki ludzi.

Ktoś kiedyś powiedział, że handel jest sztuką i dyplomacją. W „Polimexie-Cekopie" dodano do tego, że jest on przede wszystkim wiedzą o kraju, z którym zamierza się handlować – i im więcej tej wiedzy, często pozornie odległej od spraw techniki czy handlu, tym lepiej. Trzeba, jak to powiedział jeden z moich rozmówców, „wejść w kraj". Wtedy można bardziej przekonywająco przedstawić swoją ofertę i wygrać z konkurencją.

A jest ona niezwykle ostra – w Grecji do przetargu na budowę cukrowni stanęło 12 renomowanych firm światowych. Wygrał „Polimex-Cekop". I zdołał ten sukces jeszcze rozwinąć. Jak? Bardzo prosto – znakomitym wykonaniem. Solidna, dobra robota – efekt: nowe zamówienie.

Inny przykład: fabryka kwasu siarkowego w Duisburgu zyskała bardzo pochlebne opinie w fachowych czasopismach. Niemal natychmiast dostaliśmy ofertę na budowę wspomnianych już zakładów w Safii.

W ten sposób powstaje dobra marka firmy. Coś bezcennego dla każdego eksportera. Bo wtedy po prostu wiadomo: „Polimex-Cekop" – to dobra robota.

Ale nie tylko – firma staje się wizytówką kraju, wizytówką rozwoju jego przemysłu, osiągnięć myśli technicznej. Z „Polimexem-Cekopem" współdziałają setki zakładów przemysłowych z kilkudziesięciu zjednoczeń. Zatrudniają one ok. 40 tys. inżynierów i 220 tys. robotników!

To, co napisałem, jest laurką dla „Polimexu-Cekopu". Ale – przyznacie sami – zasłużoną.

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

Fot. archiwum

Alert olimpijczyków jutra

Olimpiada – arena zmagań najlepszych z najlepszymi. Zazdrościmy im często, że właśnie oni, a nie my startujemy. Oczami wyobraźni widzimy siebie na podium olimpijskich zwycięzców i wędrującą na maszt – za naszą przyczyną – biało-czerwoną flagę. I nie ma w tych marzeniach nic dziwnego, bowiem z nich rodzą się czyny, które za kilka czy kilkanaście lat zamienią je w rzeczywistość. Wiemy dobrze, że spośród miliardów ludzi, tylko nieliczni stają w olimpijskie szranki. Ale podziwiając ich – każdy z nas może mieć swoją własną miniolimpiadę na podwórku, boisku, stadionie, pływalni i tam – podobnie jak na tych wielkich igrzyskach – rywalizować z innymi o miano najlepszego. Tak kiedyś stawiali swe pierwsze kroki przyszli olimpijczycy. Tak samo jest dziś.

O tym chyba myśleli działacze FSZMP, kiedy wspólnie z licznymi współpartnerami złożyli całej polskiej młodzieży sportową ofertę. Zawarli ją w ogłoszonym w styczniu br. „Olimpijskim Alercie Młodzieży – Moskwa 1980". Interesująca i obfita to oferta. Każdy może znaleźć w niej to, co go szczególnie interesuje, co ma ochotę robić, w czym chce i może sprawdzić swoje siły, zabłysnąć talentem – i to niekoniecznie sportowym. Olimpijski Alert stwarza szanse działania również tym, których pasjonuje praca organizatorska i tym, którzy pragną się wykazać posiadaną wiedzą o sporcie i idei olimpijskiej.

Olimpijski Alert Młodzieży trwa. Wiele imprez już się odbyło, jak np. Turniej Tenisa Stołowego i Wiślańskie Dni Sportu, które były pierwszą odpowiedzią na wezwanie Alertu. Największe i chyba najciekawsze dopiero się jednak odbędą – Biegi Zwycięstwa, Festyn Sportów Wodnych, konkursy, teleturnieje i cykl wystaw obrazujących dorobek polskiego sportu. Na wielu alertowych imprezach gościć będą nasi olimpijczycy, działacze sportowi i trenerzy. Na najlepszych i najbardziej lubianych spośród tych ostatnich, będziecie mogli oddać swoje głosy w alertowym plebiscycie pn. „Honorowa Trybuna Trenerów – Wychowawców Młodzieży".

Ministerstwo Oświaty i Wychowania, wspólnie ze Związkiem Harcerstwa Polskiego i Szkolnym Związkiem Sportowym, zainicjowało ogólnopolski konkurs pn. „Sztafeta Olimpijska – Moskwa 1980". Jest to działanie czteroletnie, mające na celu zdecydowaną poprawę wychowania fizycznego i działalności sportowej w szkołach. Są to zadania adresowane do uczniów, harcerzy i do członków SKS. W każdym roku szkolnym pokonywać będziemy jeden odcinek Sztafety Olimpijskiej, który zawierać będzie dwa hasła: jedno dotyczące życia społeczności uczniowskiej, drugie – działalności sportowej. Ich wykonanie zależeć będzie głównie od samych uczestników sztafety. Wyniki zostaną zanotowane w specjalnych kronikach olimpijskich.

Ale Olimpijski Alert to nie tylko sportowe imprezy, spotkania i konkursy. To również udział jego uczestników w budowie i modernizacji boisk, placów gier, stadionów, urządzeń sportowych i rekreacyjnych. To również udział w zagospodarowaniu Autostrady Olimpijskiej Zachód-Wschód, której budowę podjęto w związku z moskiewską olimpiadą. Sami wiemy dobrze, jak wiele można wspólnymi siłami dokonać.

Coraz wyraźniej rysuje się wizja XXII Igrzysk Olimpijskich, które po raz pierwszy w swej historii odbędą się w stolicy państwa socjalistycznego – Moskwie. Już dziś wiadomo, że jak żadne dotąd, będą to igrzyska milionów młodzieży, nie tylko na olimpijskich stadionach. W wielu krajach – jak w naszym – dziewczęta i chłopcy rywalizować będą o pierwszeństwo, o miano najlepszego – olimpijczyka jutra.

RYSZARD RATAJCZYK

Z Warszawy do Warszawy przez Koźle

W LABIRYNCIE ZŁOMOWISK I KOMPETENCJI

Złom i makulatura czekają na transport do punktów skupu, nie wiadomo co zrobić z puszkami po konserwach, w wielu domach gromadzą się zapasy butelek i słoików...

Podobne informacje docierają do redakcji – zwłaszcza w ostatnim czasie – coraz częściej. Na opieszałość punktów skupu i zbiornic narzekają korespondenci ze Słupska, Chroszczobrodu, Warszawy i innych miejscowości. Czytelnicy piszą do nas o zadziwiającej „specjalizacji". Jeżeli gdzieś można sprzedać złom, to nie stare opony; jeśli punkt przyjmuje butelki i słoiki, to akurat zużyte szmaty wozić trzeba kilka kilometrów dalej. Sprawność zajmujących się skupem instytucji jest znikoma. Tym bardziej więc zadziwia działanie pracowników MPO i tajemniczych ludzi ze zniszczonymi wózkami dziecięcymi. Wszystko, co ma jakąkolwiek wartość użytkową, znika w bagażnikach „śmieciarek" lub wywożone jest „ręcznym" transporterem w niewiadomym kierunku...

Kup pan te butelki i gazety

Pracownicy punktów skupu wprowadzają własne cenniki, własne zwyczaje, własne godziny urzędowania. Część butelek kupowana jest – zwłaszcza od młodzieży – po cenach niższych od obowiązujących, nie przyjmuje się puszek nie sprasowanych. Jednego dnia godzina szesnasta to za późno, drugiego – za wcześnie. Na dodatek w miejscach do tego przeznaczonych pozbyć się można tylko tak zwanej „drobnicy". Nie można w nich sprzedać np. zużytej wanny, bowiem punkt z reguły nie dysponuje przestrzenią do magazynowania tak dużych przedmiotów. Owszem, istnieją centralne zbiornice złomu, ale z reguły są one oddalone od osiedli mieszkaniowych. A tam mają mnóstwo kłopotów. Problemem numer jeden jest np. transport. Sytuacja warszawska w niczym nie odbiega od ogólnego schematu.

W stołecznym labiryncie

Spółdzielnia Pracy Surowców Wtórnych, Hutniczych i Papierniczych w Warszawie. Prezes Spółdzielni, Jerzy Cywiński:

– Centrala, której bezpośrednio pod-

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

W drugiej części reportażu autorka opisuje swój pobyt w stolicy Peru Limie. Po raz pierwszy styka się tam ze śladami kultury Inków.

TROPEM TAJEMNIC INKÓW (2)

SKARBY MIGUELA MUSIKA GALLO

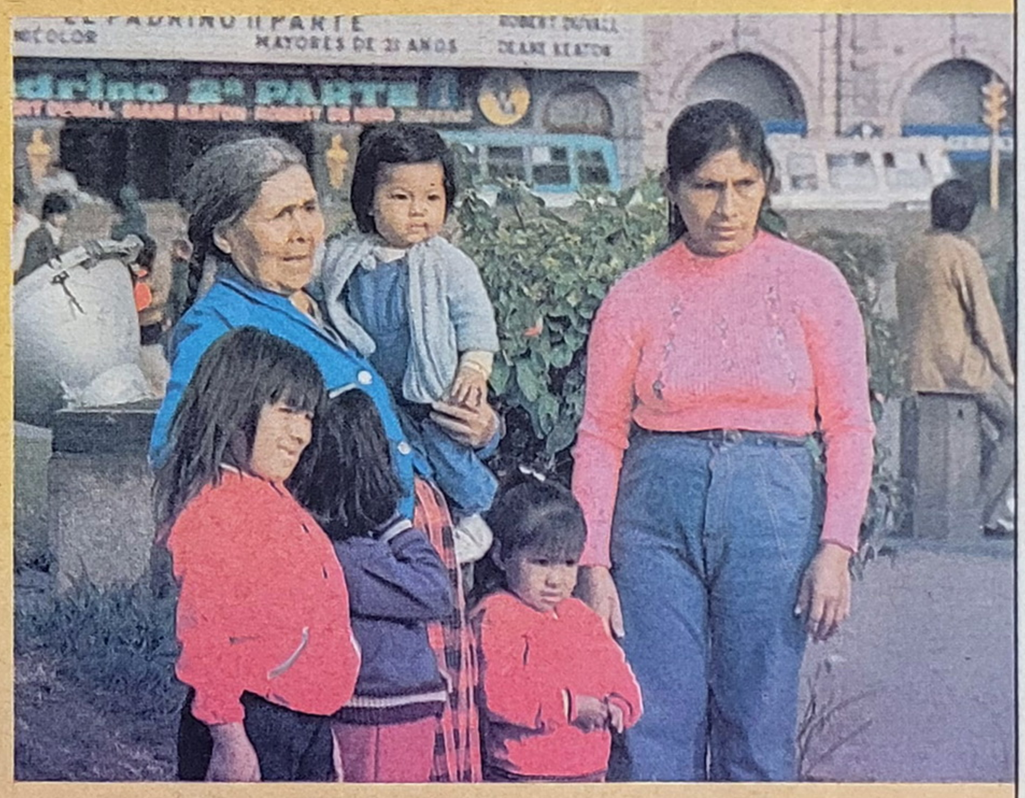

Z Quito ekwadorskimi liniami lotniczymi „Ecuatoriana de Aviacion" polecieliśmy do Limy. O ile w Ekwadorze widać było jeszcze trochę zieleni, im dalej na południe, tym bardziej pustynny i suchy staje się krajobraz. Lima jest jak gdyby oazą na pustyni – wokół niej rozciągają się ogromne wydmy – ciągnące się setkami kilometrów przez niemal całkowicie nie zamieszkane obszary.

W Limie niespodzianka. Sierpień to peruwiańska zima, a ponieważ w Limie nigdy nie pada, po prostu na kilka miesięcy znika słońce. Niebo pokryte jest przez cały czas chmurami i wilgotność powietrza dochodzi do 100 proc., co sprawia, że odczuwa się jakby drobniutką mżawkę. Chłód przenika aż do kości. Przy tym ten niski pułap chmur utrzymuje się tylko nad stolicą, a ściślej wzdłuż wybrzeża. Już kilka kilometrów od Limy, w górach świeci słońce i tylko chłodniejsze noce przypominają, że panuje zima.

Szukamy jakiegoś tańszego hotelu, przyzwyczajeni, że w Europie są to zupełnie przyzwoite miejsca, tylko bez luksusów. Okazuje się jednak, że w Peru nie znają pojęcia „taniej turystyki" (nie ma mowy o campingach), bo prawie jedynymi znanymi tu turystami są Amerykanie. Dla nich hotel kosztujący 20 dol. to „taniocha". Tak więc trafiamy do czegoś, co przypomina raczej „dom schadzek", a nie hotel. Płaci się za każdą noc z góry, pokoje są straszliwie brudne, wilgotne, pościel... lepiej nie mówić. Ale nie mamy wyboru; jest już zbyt późno, aby szukać czegoś innego. Następnego dnia opuszczamy pośpiesznie ten „pensjonat" i przeprowadzamy się do prowadzonego przez Chińczyków hotelu Oriental.

Ciekawa jest historia chińskich emigrantów, którzy przybyli do Peru w początkach naszego stulecia, gdy bramy tego kraju stały otworem dla wszystkich, którzy chcieli go zaludnić. Przybysze osiedlili się w Limie, gdzie najłatwiej było o pracę. Wymieszali się przy tym dokładnie z tubylcami, tworząc przedziwny typ mieszkańców chińsko-indiańskich. Mają krępą budowę peruwiańskich Indian i skośne oczy. Połączenie się dwóch ras wytworzyło osobnika przedsiębiorczego i z głową do interesów. Natychmiast powstały tysiące restauracji (eleganckich i całkiem biednych), kafejek zwanych „chifas", gdzie zdolni chińscy kucharze stworzyli bardzo oryginalne menu, łącząc typowe potrawy peruwiańskie ze znanymi sobie przysmakami chińskimi.

Na miesiąc przed naszym przyjazdem do Limy wprowadzono w całym kraju stan wyjątkowy i godzinę policyjną ze względu na zamieszki spowodowane podwyżką cen. Wbrew przypuszczeniom wojska na ulicach nie było jednak widać, a życie toczyło się normalnym trybem. Rzucała się jedynie w oczy ogromna liczba biedoty. Całe centrum miasta okupowane jest przez tysiące kramików, straganów, gdzie sprzedaje się absolutnie wszystko i gdzie najbiedniejsze rodziny po prostu mieszkają. Brud i nędza sprawia bardzo przygnębiające wrażenie. Nie można przejść po chodniku, aby z kimś nie zderzyć się w tym ludzkim mrowiu, by nie nadepnąć na rozłożone na ziemi towary. Rząd peruwiański nie może zająć się ubogą częścią społeczeństwa ze względu na ogromne trudności ekonomiczne, jakie przeżywa kraj.

W centrum znajdują się interesujące turystę zabytki z okresu hiszpańskiego, główny rynek, czyli Plaza de Armas (wszystkie rynki we wszystkich miastach tak się nazywają). Dobrze zachowane, przynajmniej na zewnątrz, są typowe hiszpańskie, arystokratyczne „casonas" (kamienice) ze ślicznie rzeźbionymi ogromnymi balkonami – okiennicami. U mego męża ślady dawnej obecności Hiszpanów wywołują pewien dreszczyk emocji, bo przecież kilka wieków Lima była dla jego rodaków drugą ojczyzną, tu czuli się jak u siebie w domu. Ufundował to miasto Francisco Pizarro w 1535 roku, przewidując, że obfite wody rzeki Rimac i bliskość portu Callao stwarza doskonałe warunki, aby w krótkim czasie mogło rozkwitnąć największe i najbogatsze miasto wicekrólestwa. W obecnej chwili Lima liczy 3,5 mln mieszkańców, zamieszkuje ją więc ok. jedna czwarta ludności Peru.

Zwiedzamy jedno z ciekawszych muzeów w Limie: Museo del Oro del Peru. To prywatna kolekcja. I można doprawdy podziwiać, jak jeden człowiek – Miguel Mujica Gallo – zdołał zgromadzić własnym wysiłkiem i własnym kosztem takie nieprawdopodobne skarby. Są tam niezliczone unikalne wyroby ze złota, srebra, rzeźby w drzewie różnych ludów zamieszkujących Peru przed Inkami. Kultura Nazca zasłynęła z wyrobów ceramicznych i nie wyjaśnionych do dziś „pasów startowych" i różnych rysunków na ziemi, które oglądać można dopiero z powietrza. Plemiona zamieszkujące niegdyś okolice Trujillo w miejscu zwanym Chan-Chan, na długo przed Inkami rozwinęły dość zaawansowaną kulturę. Pan Mujica zdobył te skarby podróżując po wszystkich zakątkach kraju i skupując je od „guaqueros", czyli ludzi specjalizujących się w odnajdywaniu i plądrowaniu ruin, grobów i innych historycznie i archeologicznie ciekawych miejsc. Dzięki „guaqueros" odnaleziono wiele zagubionych w górach, czy w dżungli pozostałości po różnych ludach, oni też jednak przez swoją niewiedzę i chęć zysku zniszczyli bezpowrotnie wiele skarbów, sprzedając np. złoto na plomby lub na złom.

Wybraliśmy się też na dwie krótkie wycieczki do pobliskich ruin Puruchuco. Obejrzeć tam można świetnie zrekonstruowany dom (z gliny) „curaca", czyli wodza lokalnego Inków. Jest to typowy przykład rezydencji wodza z doliny Limy. Konstrukcja całego domu jest wprost idealna geometrycznie, korytarze tworzą rodzaj labiryntu i tylko pokoje mają dach, reszta domu jest pod gołym niebem.

Pachacamac – („pacha" znaczy świat, ziemia; „camac" – ten, kto rządzi, czyli pan świata, stworzyciel wszechświata) – było miejscem kultu religijnego jeszcze przed przybyciem Inków. Inkowie zbudowali tam świątynię słońca, w której składali ofiary z kobiet sprowadzanych z okolic górskich. Odkryto liczne groby niewiast ubranych w stroje typowe dla mieszkanek wiosek górskich. Na ogromnym terenie prowadzone są badania archeologiczne. Zrekonstruowano już trzy ważne zabytki. W jednym miały przebywać „kobiety szatana" strzegące złota i składające ofiary bożkowi. Dwie pozostałe ruiny to „Świątynia Słońca" – dość dobrze zachowana, zbudowana na zboczu spadającym do morza i „Świątynia Pachacamac", w formie piramidy, złożonej z niewielkich cegiełek zrobionych z gliny.

Ruiny kryją jeszcze wiele tajemnic, lecz prace archeologiczne są bardzo kosztowne, a rząd peruwiański ma obecnie zbyt poważne problemy ekonomiczne i socjalne, aby odpowiednio sfinansować badania. Minie jeszcze wiele lat, zanim zbadane zostaną tajemnice i kultura Inków.

JOANNA JURCZYŃSKA
Bogota, Kolumbia
Fot.: autorki

Ruiny Puruchuco

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

legam, znajduje się w Białymstoku. Transport samochodowy w Warszawie ale to nie jest mój transport. Korzystam z uprzejmości Związku Spółdzielni Budowlanych. Aby obsłużyć wszystkie podlegające mi punkty skupu potrzebuję 50 samochodów dziennie. Dostaję 25. Rozumiem kłopoty z naprawami. Ale co mam zrobić, kiedy w punkcie gromadzi się tyle makulatury, że drzwi nie można zamknąć, a brak samochodów do wywiezienia wszystkiego?

Złom to odrębna i długa historia. Najprościej byłoby dostarczać go do Huty „Warszawa". Huta jednak przystosowana jest wyłącznie do transportu kolejowego. A kolej nie przewozi ładunków na dystansie krótszym od stu kilometrów. Błędne koło. Stare żelastwo trzeba więc wywozić najpierw do stacji odpowiednio od stolicy odległych. Później wraca ono do miejsca swego pierwotnego przeznaczenia. W majestacie kolejowych przepisów – droższe o tysiące złotych, wydanych na tę skomplikowaną podróż. Załóżmy jednak, że postanawiam wysłać złom do Huty „Katowice". Też niedobrze – Warszawa uznana jest przez kolej za okręg, gdzie się wagony wyłącznie rozładowuje. Puste odchodzą na Śląsk, czy do portów. A mój złom czeka...

W LABIRYNCIE ZŁOMOWISK I KOMPETENCJI

Po co to wszystko?

Zbieranie odpadów powinno wejść w nawyk. Stawka wszak ogromna – ograniczenie importu rudy żelaza, materiałów włókienniczych, kauczuku. W styczniu zapotrzebowanie hut na odpady sięgnęło astronomicznej liczby pół miliona ton. Gdyby nie wysiłek tysięcy anonimowych „zbieraczy", instytucji państwowych i spółdzielczych, ze wspólnej kasy trzeba by wydatkować kolejne miliony złotych dewizowych. Spółdzielnia prezesa Cywińskiego nie jest jednym ogniwem zapobiegającym zbędnemu marnotrawstwu. Krajowym potentatem skupującym np. stare opony, czy szmaty jest Centrala Surowców Wtórnych w Łodzi. Niektóre punkty skupu jej właśnie są podporządkowane. Gdybyśmy postanowili zrobić graficzny wykres wzajemnych zależności i podziału kompetencji, to rysunek ten byłby na pewno odmianą labiryntu. A pamiętać należy, że w labiryncie tym porusza się wyłącznie klient indywidualny. Zakłady pracy mają własny „tor przeszkód" – o odpowiednio większym stopniu komplikacji. Któż bowiem mógłby się domyślić, że skupem odpadów szklanych zajmuje się głównie... resort Ministerstwa Przemysłu Materiałów Budowlanych. Gdzie kucharek sześć... tam trudniej surowce wtórne zbierać i przerabiać. A przecież trzeba – i co do tego nikt nie ma wątpliwości.

Plany

Prezes Cywiński:

– Jedno jest pocieszające. Punktów skupu, które obsługują klientów indywidualnych nie będzie mniej. Od kilku tygodni obowiązuje przepis – punkty takie można przenosić, nie wolno ich likwidować. Tylko że od tego przepisu, nawet ściśle przestrzeganego, nie zależy na przykład kulejący transport. Dyrekcja kolei musi zawrzeć z nami rozsądne porozumienie. Chcemy wreszcie dopracować się własnego parku samochodowego. Bo też dwa „Żuki", które niedawno otrzymałem to kropla w morzu potrzeb. Z ilu szkół mogę nimi zwieźć makulaturę? Mniej, niż z połowy zgłaszających się...

Czy skuteczny sposób na kłopoty?

W kwietniu spółdzielnia warszawska zostanie zreorganizowana. Po raz któryś z rzędu... Reorganizacja obejmie zresztą cały kraj, aż do gmin włącznie. Jaki będzie jej ostateczny efekt? Dzisiaj trudno jeszcze odpowiedzieć na to pytanie, tym bardziej, że nieznany jest ostateczny kształt nowej instytucji.

*

Kolej ma kłopoty, transport samochodowy ma kłopoty, zbiornice surowców wtórnych też nie są w lepszej sytuacji. Kto ma rację? Na pewno ci, którzy nie chcą pozwolić na marnotrawstwo setek ton cennych niejednokrotnie materiałów. Bardzo często ich niebagatelny wysiłek idzie na marne – rozbija się o sztywny przepis, utyka pomiędzy rejonem działania kilku instytucji. Ważna jest ilość punktów skupu. Ale równie ważna jest sprawność ich działania.

Kwiecień już niedługo. Będziemy śledzili reorganizacje spółdzielni zajmujących się surowcami wtórnymi. I o wszystkim, co złe i dobre w nowej działalności nastąpi, natychmiast poinformujemy naszych czytelników.

MAREK ZARĘBSKI

Fot. archiwum

DOM MODY świata młodych

W OSTRYCH KOLORACH

Wiele z Was zadało mi w listach pytanie, jakie są aktualnie najmodniejsze kolory i które z nich pasują dla nastolatek? Nie po raz pierwszy je otrzymałam i nie po raz pierwszy na nie odpowiadam. Zawsze zresztą w sposób identyczny: modne są te kolory, w których konkretny człowiek najlepiej się czuje i najbardziej jest mu w nich do twarzy. Może nie jest to najprecyzyjniejsza odpowiedź na to właśnie pytanie, ale – najsensowniejsza. Bo nurty w modzie są bardzo różne i często te „najmodniejsze" kolory zmieniają się szybciej niż... człowiek zdąży się obejrzeć. Bo, po drugie, często ten „najmodniejszy" kolor jest akurat taki, że komuś jest w nim wręcz fatalnie – więc w imię czego się oszpecać?! Bo, po trzecie, dziwacznie by to wyglądało gdyby wszyscy nagle ubrali się tylko na zielono (bo akurat modny jest zielony) lub tylko na czerwono, na fioletowo itd. Istny mundurek!

Jeśli zaś chodzi o drugą część pytania, to nastolatki są w tym szczęśliwym położeniu, że mogą sobie pozwolić na różne kolorystyczne ekstrawagancje. To, co by raziło w ubiorze pani 40-letniej, u nastoletniej dziewczyny jest samym wdziękiem i radością. Bo i tendencje mody młodzieżowej są takie – ma być ona wesoła, zabawna...

Widać wyraźnie tę wesołość w przedstawianych dzisiaj swetrach (zima nam jeszcze ciągle miłościwie panuje!). Ich charakterystyczną cechą w dziedzinie kolorystyki (bo nie o fason tu chodzi) jest łączenie ze sobą dużych płaszczyzn w bardzo żywych i kontrastujących ze sobą kolorach. Mogą to być zwyczajne szerokie pasy, ale i inne kombinacje, mniej tradycyjne też. Jak chociażby sweter prezentowany przez bardzo młodego modela, który składa się z karczka czerwonego, swetra „zasadniczego" zielonego, jednego rękawa żółtego, a drugiego rękawa – niebieskiego. Takich kombinacji można stworzyć naprawdę bez liku – zależy to i od fantazji, i od możliwości włóczkowych (resztki!), i od upodobań. A jaka przy tym zabawa, nieprawdaż?!

RIUSZKA

CO DALEJ ÓSMA KLASO

TEŻ GÓRNIK, ALE...

Nasza szkoła jest jedną z niewielu szkół w Polsce, które kształcą fachowców dla potrzeb górnictwa naftowego. Dlatego przyjmujemy kandydatów z całej Polski. W przyszłym roku szkolnym prowadzone będą u nas następujące specjalizacje:

*1) **Wiertacz** – jego praca przebiega w terenie na różnego typu urządzeniach (zbyt skomplikowanych, by je opisać) krajowych i importowanych. Zarobki bardzo wysokie. Zapotrzebowanie na tych specjalistów kilkakrotnie przewyższa ich liczbę. Praca przebiega systemem wydłużonej dniówki, ale daje pracownikowi wolny tydzień w ciągu miesiąca.*

*2) **Operator wydobywania ropy i gazu** – specjalista taki pracuje w kopalniach eksploatujących ropę i gaz ziemny. Zapotrzebowanie również bardzo duże. W odróżnieniu od wiertacza operator pracuje w zasadzie na stałym miejscu, ale zarobki ma niższe.*

*3) **Mechanik maszyn i urządzeń wiertniczych** – może pracować w terenie lub zamkniętych zakładach przemysłowych. Zapotrzebowanie bardzo duże.*

*4) **Mechanik-kierowca pojazdów samochodowych** – na ten kierunek zawsze jest więcej chętnych niż miejsc. Po ukończeniu tej specjalizacji najczęściej podejmuje się pracę w przedsiębiorstwach transportowych zakładów naftowych.*

W przyszłym roku szkolnym do klas pierwszych przyjętych zostanie 210 absolwentów szkół podstawowych. Tylko na czwartą specjalność (mechanik-kierowca pojazdów samochodowych) obowiązuje konkurs świadectw!

Kandydaci powinni odpowiadać warunkom zdrowotnym takim samym jak do innych szkół zawodowych.

Przedmiotów zawodowych uczą wysoko kwalifikowani nauczyciele. Ponieważ nauka bardzo ściśle wiąże się z zajęciami praktycznymi, można dość łatwo i szybko opanować przedmioty zawodowe.

Nauka trwa 3 lata. W klasie pierwszej zajęcia praktyczne odbywają się dwa razy w tygodniu, w klasie drugiej – 2 lub 3 dni, w klasie trzeciej – trzy dni w tygodniu. Na te zajęcia młodzież dowożona jest autokarami do naftowych zakładów przemysłowych.

Szkoła zapewnia bezpłatnie ubrania ochronne i środki higieniczne. W klasie drugiej – mundur wyjściowy, 2 koszule i krawat. W klasie trzeciej – mundur wyjściowy, 2 koszule, półbuty skórzane i kurtkę ortalionową. Uczniowie osiągający pozytywne wyniki w nauce i zachowaniu otrzymują stypendia.

Młodzież zamiejscowa w 90 proc. mieszka w komfortowo wyposażonym internacie. Tak w szkole, jak i internacie prowadzone są liczne zajęcia sportowe, imprezy turystyczne, kółka zainteresowań (fotograficzne, orkiestra itp.)

Po ukończeniu szkoły nikt nie ma kłopotów ze znalezieniem pracy. O absolwentów naszej szkoły ubiegają się liczne przedsiębiorstwa z terenu całej Polski. Można także kształcić się dalej w Technikum Górnictwa Naftowego w Krośnie (ul. Wojska Polskiego 49), w którym istnieje też wydział zaoczny.

Szczep HSPS przy Zasadniczej Szkole Górnictwa Naftowego, Krosno, ul. Kolejowa 15

Poza tą szkołą operatorów wydobywania ropy i gazu kształci także Zasadnicza Szkoła Górnictwa Odkrywkowego w Żarach, ul. Nowotki 33, a mechaników maszyn i urządzeń wiertniczych – Zasadnicza Szkoła Górnictwa Naftowego w Pile, ul. Mireckiego 18.

Mechaników-kierowców pojazdów samochodowych kształcą 104 różnego rodzaju zasadnicze szkoły zawodowe w całej Polsce. Napiszemy jeszcze o nich oddzielnie. (pas)

W świecie Don Kichota

Zdjęcia Marka Szymańskiego

REDAKCYJNA POCZTA

Dlaczego nas lekceważą?

Nasza klasa liczy 18 osób. W takiej gromadzie powinno być przyjemnie i wesoło. Tak niestety nie jest. Każdy jest sam. Chłopcy nie chcą rozmawiać z dziewczętami. Uważają, że one się nie liczą. Zdarza się jednak, że bywają dla nas mili – wtedy, gdy potrzebują pomocy w nacuce, czy podczas klasówki. Potem znów nas ignorują. Zastanawiamy się więc, dlaczego tak się dzieje?

Dziewczęta z VI „b" w Białej Piskiej

Nie jesteśmy leniwe

Jesteśmy uczennicami klasy VIII. Tak się jakoś złożyło, że ja i kilka moich koleżanek zajmujemy ostatnie ławki. Nauczyciele uważają, że jesteśmy leniwe i mało aktywne. Tak jednak nie jest. Podczas lekcji zgłaszamy się przecież do odpowiedzi, ale nikt nie zwraca na nas uwagi. Po prostu nauczyciele mają swoich ulubieńców, których wyraźnie faworyzują. My nie należymy do tych przymilnych i powszechnie lubianych uczennic. Jednak to chyba nie powód, aby tak nas oceniano.

Agata

Klub Międzynarodowej Przyjaźni, Średnia Szkoła nr 7 Sosnówka, Okręg Lwowski, Ukraińska SRR, ZSRR.

Czy to ja jestem winien?

Mam szesnaście lat i wielkie zmartwienie. A powodem jest dziewczyna, którą niedawno poznałem i chyba pokochałem. Moje rodzinne sprawy nie układają się zbyt pomyślnie – rodzice parę miesięcy temu rozwiedli się. Gdy moja dziewczyna dowiedziała się o tym, zaczęła mnie unikać. W końcu wyznała, że nie chce się ze mną spotykać. Myślałem, że zabronili jej rodzice, ale nie! Chciałbym poznać zdanie innych dziewcząt, czy zrobiłyby podobnie będąc na jej miejscu.

Andrzej

„Stokrotka" do „Michała"

Ja w sprawie listu „Michała" z Warszawy (13 „ŚM"). Ze mną jest podobnie, ale ja szukam chłopaka – przyjaciela. Piszesz, Michale, że nie możesz znaleźć dziewczyny, że każda chciałaby się tylko całować. Ale jak jest z Wami – chłopakami? Większość chciałaby się tylko zabawić dziewczyną! Często słyszy się słowa: coś ty, głupia, przecież nie będę z tobą do przysłowiowej grobowej deski, itp. Najpierw miłe, słodkie słówka, a potem? Nie pochwalam też postępowania dziewcząt, które innym psują opinię, ale Wy, chłopcy, nie jesteście lepsi. A co do Ciebie, Michale, to mam radę. Jeżeli chcesz znaleźć prawdziwą dziewczynę, nie udawaj „kozaka od tych rzeczy".

„Stokrotka"

OD REDAKCJI: List „Michała" (którego nazwisko i adres jest w posiadaniu redakcji) wywołał bardzo żywy oddźwięk wśród dziewcząt, które szukają chłopców godnych ich przyjaźni. Wszystkie te listy przekazaliśmy „Michałowi".

GWIAZDOZBIÓR

Bronka z „Daleko od szosy” SŁAWA ŁOZIŃSKA

– Na I Festiwalu Filmów i Widowisk Telewizyjnych w Olsztynie otrzymała Pani nagrodę za stworzenie popularnej postaci TV: Bronki. Bardzo mi się Pani podobała w tej roli. Była Pani autentycznie skromna, prosta, a jednocześnie pełna uroku i niekłamanej młodości, świeżości. Aż dziw, że Leszek porzucił Bronkę dla miejskiej panienki...

– Cóż, „serce nie sługa”, a ponadto nie byłoby konfliktu dramatycznego, no i dalszej trudnej drogi Leszka do społecznego awansu.

– Jak to się stało, że obrała Pani zawód aktorki?

– W liceum ogólnokształcącym dzięki nauczycielowi języka polskiego zainteresowałam się ogromnie literaturą, a nade wszystko poezją. Zaczęłam też recytować, brać udział w konkursach recytatorskich. W eliminacjach Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w 1970 r. zajęłam drugie miejsce. To zdecydowało, że postanowiłam składać egzamin nie na SGPiS, gdzie wybierałam się wcześniej, lecz do PWST w Warszawie. Złożyłam i zostałam przyjęta.

– Czy pamięta Pani, co przygotowała Pani na ten egzamin?

– Oczywiście, że pamiętam. To było tak niedawno – zaledwie pięć lat temu. Mówiłam fragment z poematu „Niobe” K.I. Gałczyńskiego, fragment z „Chłopów” Reymonta, groteskę Tuwima „Bies i księżyc” oraz fragment „Pana Tadeusza”.

– A jakie wspomnienia pozostały Pani ze szkoły?

– No cóż, były wzloty i upadki, jak w czasie każdych studiów, a teatralnych może w szczególności. Miałam też szczęście: już na drugim roku studiów zagrałam rolę Haneczki w „Weselu” Wyspiańskiego w Teatrze Narodowym. Na trzecim roku – rolę Ludmiły w „Wacława dziejach”, na czwartym – ponownie rolę Haneczki w nowej inscenizacji Hanuszkiewicza „Wesela” Wyspiańskiego i w tym samym roku zostałam zaangażowana do Teatru Narodowego, w którym aktualnie pracuję.

– Jak więc trafiła Pani do filmu?

– Otrzymałam po prostu propozycję zagrania epizodu w serialu TV „Dyrektorzy”. Była to rola pielęgniarki. Musiałam w ciągu dwóch dni wtajemniczyć się w arkana tego zawodu, a więc: nauczyć się operowania instrumentami, dokonywania zabiegów itp. No, a potem zaproszono mnie na próbne zdjęcia do serialu „Daleko od szosy”. Wypadły pomyślnie i w ten sposób otrzymałam rolę Bronki.

– Mówiłam już, że była Pani w tej roli bardzo autentyczna. Czy wynikało to ze znajomości środowiska wiejskiego, zżycia się z nim?

– Nie, urodziłam się i wychowałam w Warszawie.

– Co więc pomogło Pani w tak właściwym ustawieniu i przeprowadzeniu roli Bronki?

– Przede wszystkim sam reżyser serialu, a także atmosfera życzliwości, jaką stworzyli nam, młodym aktorom, wszyscy realizatorzy. Oprócz tego moje własne przemyślenia i obserwacje dokonane w czasie kilkuletnich pobytów na wsi. Czułam, że spoczywa na mnie ogromna odpowiedzialność...

– I odniosła Pani pełny sukces! Czy zdarzyła się jakaś osobliwa przygoda w czasie pracy „na planie”?

– Niestety, albo na szczęście – nie! Tyle tylko, że niektóre sceny letnie graliśmy w czasie zimy. Trzeba było więc występować w powiewnych sukienkach, chociaż za oknem leżał śnieg.

– W czym Panią można aktualnie zobaczyć w Teatrze Narodowym?

– Gram Alinę w „Balladynie” i Sybillę w „Portrecie Doriana Gray'a” w adaptacji scenicznej Osborne'a.

– A plany na przyszłość?

– Cóż, czekam na propozycje.

– Czy obojętnie jakie?

– O nie, tylko takie, które wniosą coś nowego, ciekawego, tzn. umożliwią dalszy rozwój mego warsztatu aktorskiego. Tak łatwo jest bowiem zatrzeć wspomnienie sukcesu przez następną złą rolę. Nie mogę pozwolić sobie na takie straty. Jestem wszak dopiero u progu swojej aktorskiej kariery...

– Czy ma Pani jakiś określony typ roli, którą chciałaby Pani zagrać?

– Raczej nie. Będę jednak rada grając duże, byle dobre, role, jak i „krwiste” epizody.

– Życzę powodzenia.

Rozmawiała: HELENA ROGOYSKA
Fot. **Marek Tokarski**

ŚWIADKOWIE HISTORII

Niskie pochmurne niebo. Przez zwały chmur szorujących o grzbiety Sudetów z trudem przebija się księżyc. Jest cicho. Słychać tylko poskrzypywanie śniegu pod końskimi kopytami. Od czasu do czasu w leśnej głuszy rozlega się krzyk obudzonego ptaka. Samotny jeździec sennie kołysze się na kulbace. Nagle senność pryska. Ciszę przerywa trzask łamanej gałęzi. Przed końskim łbem majaczą w mroku dwie sylwetki. Jedna z nich gwałtownym szarpnięciem zwala jeźdźca na ziemię. Jego krzyk tłumi zarzucona na głowę opończa. Po chwili szamotanina ustaje. W poszukiwaniu sakiewki ręce napastników obmacują nieruchome już ciało ofiary. W parę sekund później postacie bezszelestnie znikają w mroku. Zapada cisza.

Ta historia i wiele jej podobnych – nie powstały bynajmniej tylko w wyobraźni autorów powieści historycznych. W Średniowieczu na terenie Sudetów i Dolnego Śląska napady i zbrodnie zdarzały się często. Tędy wiodły bowiem handlowe szlaki, wędrowały objuczone bogactwem karawany. Rabusiów kusiło złoto. Śladem popełnianych przed wiekami zbrodni są zachowane do dziś krzyże pokutne. Na Dolnym Śląsku jest ich dużo, blisko czterysta. Wykute z granitu i piaskowca, przypominają minione tragedie...

Krzyże pokutne należą do wyjątkowych i, prawdę mówiąc, zapomnianych zabytków. Stoją przy dawnych traktach i drogach, pochylone ku ziemi – kamienne pomniki średniowiecznego prawa. Jak podają dochowane do naszych czasów stare kroniki i dokumenty, zgodnie z obowiązującym przed wiekami prawem, wyrok sądowy nakładał na mordercę szereg obowiązków: między innymi musiał on pokryć koszty pogrzebu ofiary i odbyć pokutną pielgrzymkę. Wyrok zobowiązywał go także do łożenia na utrzymanie rodziny i wychowanie dzieci zamordowanego, ba! zapłacenie nawet kosztów wypitego w czasie procesu piwa. Ale przede wszystkim musiał on wystawić kamienną kapliczkę lub pokutny krzyż w miejscu popełnienia zbrodni.

Tyle stare kroniki. Wynika z nich, że prawo to obowiązywało na terenie Śląska od roku 1301 do 1500, a w niektórych okolicach do roku 1615. Ale tradycja stawiania krzyży pokutnych przetrwała dłużej i wznoszono je nawet w wieku XVIII. Jednakże wtedy nie były one stawiane przez zabójców, karano ich bowiem już więzieniem, ale przez rodziny ofiar dla uczczenia pamięci zamordowanych, dla upamiętnienia tragedii.

Naukowcy zajmujący się historią tych kamiennych świadków ustalili, że im dalsza odległość od ówczesnych kamieniołomów, tym bardziej maleje ilość wznoszonych krzyży, jednocześnie też kurczą się ich rozmiary. Największe z odnalezionych osiągały wysokość 2 metrów, najmniejsze zaś 30 centymetrów.

Czas wygładził ostre, surowe formy krzyży pokutnych. Mimo to, jeśli się im dobrze przyjrzeć, spostrzec można wyryte na nich wizerunki narzędzi, którymi dokonano zbrodni. Są to najczęściej miecze i szable, oszczepy i dzidy, widły i łopaty. Ale spotyka się także siekiery i noże, kusze, łuki i groty strzał. Rysunki zachowały się między innymi na krzyżach w Wambierzycach, Żarkowicach, Czarnem.

Krzyże pokutne można zobaczyć w różnych miejscach, np. nie opodal schroniska turystycznego na przełęczy Kowarskiej. Inny, ledwo wystający z trawy, na dzisiejszej granicy polsko-czechosłowackiej – pomiędzy Dusznikami i Zieleńcem.

Obyczaj stawiania krzyży pokutnych zanika zupełnie pod koniec XVIII stulecia. Wolno stojące pomniki niszczy czas i ludzie nie znający ich historii. Często w sposób bezmyślny, przypadkowy, nierzadko wykorzystując je jako materiał budowlany.

Wśród zachowanych do dzisiejszego dnia pamiątek średniowiecznego prawodawstwa naukowcy wyróżniają kilka ich rodzajów, ze względu na różny kształt. Są więc krzyże o najprostszej, regularne formie, grubo ciosane, których spotkać można najwięcej na terenie Dolnego Śląska. Są pomniki przypominające kształtem wzór krzyża maltańskiego, o rozszerzających się ku końcowi ramionach. I wreszcie krzyże z aureolą. W sumie jest ich wiele. Nie wszystkie są jeszcze zewidencjonowane. Ich piękno dodaje urody tej ziemi, ziemi, która – podobnie jak jej zabytki, które przetrwały stulecia – jest własnością nas wszystkich. Pamiętajmy o tym.

ANDRZEJ ŻAK
Fot. **B. Kułakowski**

A. Kaniewskij

Lenistwo

Kupiłem sobie akwarium z rybkami i postanowiłem napisać o nich opowiadanie. Postawiłem je na parapecie w pobliżu stołu, siedzę, jem obiad, obserwuję. Dzień. Dwa. Tydzień. Rybki zjadły wszystko, co było w akwarium i wzięły się za siebie. Obudziły się w nich drapieżne instynkty. I oto została już tylko jedna ryba, ta, która dopadła wszystkie inne. Patrzy na mnie przez szkło, oczy ma złe, głodne. Można by jej, oczywiście, karmy podsypać, ale nie chce mi się wstać, ociężały się zrobiłem po obiedzie, zmęczyłem twórczym wysiłkiem. Siedzę. Woda w akwarium jest mętna, rozpleniły się wodorosty – nie mam kiedy jej zmienić, obserwuję. Tymczasem moja ryba zjadła wodorosty, potem piasek, później kamyki. Żywotne stworzenie, przystosowało się! Wkrótce zaczęła wyskakiwać z wody, muchy łapać, wykształciły się jej płuca. Wciągnęła do wody mojego kota, gdy chciał ją łapą zahaczyć. Zeżarła go razem z futrem. Urosła – w akwarium już jej za ciasno. Wyskoczyła na podłogę, za kołnierz mnie i do wody, a sama na moje miejsce, mój obiad kończy.

Chciałem krzyknąć, zaprotestować, a ta – okruchy ze stołu zebrała – i do akwarium. Spróbowałem – niczego sobie, smaczne. Pierwsza złość minęła, postanowiłem porozmawiać z nią po dobroci, a tu mi z ust tylko – bul – bul – bańki lecą. Oczywiście, można by było wyskoczyć z akwarium, lecz owładnęło mną lenistwo. Zobojętniałem w tej wodzie, zmęczony walką o byt. Czuję, że mi skrzela wyrastają – oddychać przecież jakoś trzeba. Pływam, poruszam rękami, lecz nie są to już ręce, a płetwy. Ogon wyrósł, żeby lżej było skręcać. Co jakiś czas przelatywało mi przez głowę: „Co się ze mną dzieje? Trzeba się wydostać!” Ale i mózg już mi się zrobił rybi – nie reaguje. Nawet mi się nie chce wody mącić: cicho, przytulnie, jedzenie podają. Poczułem słabość do robaczków. Potem zacząłem rozmawiać, pojawiły się dzieciaki, maleńkie rybeczki...

Krzyczę więc do dawnej ryby:

– Potrzebne mi jest, bul – bul, teraz większe, bul – akwarium!

A ta siedzi na moim miejscu, wsuwa mój obiad i obserwuje mnie. A potem jeszcze opowiadanie o mnie napisała. Właśnie to. Bo ja go w końcu nie napisałem.

Tłum. **A. Konstantynowicz**

REPORTER Świata Młodych

BABCIA MA RACJĘ

Mój kolega twierdzi, że w życiu nie ma nic wesołego. Ja uparcie wierzę, że najśmieszniejsze jest właśnie życie. Ot, choćby takie wczorajsze wydarzenie.

Przechodzę obok domu handlowego i przez szybę widzę stojącą przed kasą kolejkę, która... wrogo mruczy. Pchany wrodzoną ciekawością wchodzę do środka i o mało nie przewracam się ze śmiechu. Oto na początku stoi obwieszony paczkami wieśniak i klnie. Obok jego żona macha banknotem tysiączłotowym i też klnie. A pani kasjerka pokazuje pustą szufladę i spokojnie (!) tłumaczy, że oddała już pieniądze do banku i nie ma reszty. Po tych wyjaśnieniach kobiecina zdejmuje ze swojego chłopa wszystkie pakunki i zwraca je do stoiska. Niektórzy z klientów rzucają przy drzwiach obraźliwe słowa pod adresem kasjerki, twierdzą, że jest darmozjadem, bo siedzi w kasie i nic nie robi.

W tym miejscu zmuszony jestem ostro zaprotestować. Jak to nic nie robi?

Po pierwsze: jadła jabłko, po drugie: tłumaczyła tępym klientom, że siedzenie w kasie, w której nie ma pieniędzy, jest pracą odpowiedzialną i wyczerpującą. To nie jej wina, że klienci ciągle chcą coś kupować i w dodatku nie mają drobnych.

Ludzie po prostu nie mają poczucia humoru, np. takiego jak panie z poczty. Pani z okienka w Kołobrzegu prosi tych, którzy chcą wysłać ogłoszenie do gazety, o przywiezienie specjalnego formularza z... Koszalina. W Koszalinie każą jechać do Szczecinka. I czy na poczcie nie jest wesoło?!

Chciałem napisać coś śmiesznego, ale teraz, gdy widzę, że mi nie wyszło, nie zostaje mi nic innego, jak tylko zgodzić się z moją babcią, która zawsze uczyła mnie, że śmiać się z ludzi ograniczonych nie wolno!

MARIUSZ MARASZKIEWICZ, Słupsk
Członek Ligi Reporterów nr 89

„W dniu 31 stycznia br. o godz. 20,30 idąc ulicą zauważyłem dziwny świetlny krąg wokół Księżyca. Jego obraz przedstawiam na rysunku. Proszę o wyjaśnienie tego zjawiska" **– pisze Krzysztof Czajkowski z Kutna.**

Świetlne koło otaczające Księżyc, tzw. halo, jest zjawiskiem optycznym. Powstaje ono w naszej atmosferze w wyniku pojawiania się obłoków pierzastych, które składają się z drobniutkich kryształków lodu. Mają one najczęściej kształt sześciokątny regularnych bryłek. W kryształach tych, podobnie jak w pryzmatach, odbite światło Księżyca rozszczepia się na 7 barw, tworząc efektowne koła. Przy odpowiednich kombinacjach kryształków lodowych mogą również tworzyć się inne kształty halo, np. w postaci łuków, sierpów, słupów, krzyży itp. Warto również wiedzieć, że zjawisko halo powstaje także wokół Słońca!

Prezes Tomika
ST. BOROWIECKI

RATAN –600 największe ziemskie radioucho

Najlepiej oglądać go z helikoptera, przypomina wtedy ogromny kwiat rumianku, tylko zamiast płatków ma metalowe tarcze wyciągnięte na spotkanie niebu. Zainstalowano go w miejscowości Zielenczukskaja, nie opodal innego astronomicznego giganta, 6-metrowego teleskopu optycznego.

Projektanci tego astronomicznego ośrodka szukali dla radioteleskopu najdogodniejszego miejsca na całym obszarze Kraju Rad. W tym celu zbadano 27 rejonów wydających się na pierwszy rzut oka dogodnymi do realizacji tego przedsięwzięcia. Spośród nich wybrano miejsce, które najlepiej spełniało surowe wymagania. To Zielenczukskaja w górach Północnego Kaukazu. Astronomów przyciągnęła tu zadziwiająca przezroczystość powietrza, a radioastronomów kotlina otoczona górami chroniącymi od przemysłowych zakłóceń. Radioteleskop zamontowano na swego rodzaju naturalnym betonie. Dla konstrukcji instrumentu silna, solidna podstawa ma ogromne znaczenie. Jeśli fundament będzie „oddychać", zniekształci wyniki obserwacji.

Ale pora na prezentację i krótką charakterystykę. RATAN-600, bo o nim tu właśnie mowa, to największe obecnie ziemskie radioucho skonstruowane przez specjalistów Akademii Nauk ZSRR. Nazwa urządzenia powstała ze skrótu: RAdioastronomiczny Teleskop Akademii Nauk – RATAN. Główna jego osobliwość to oczywiście, pierścieniowa antena (nazywają ją jeszcze odbiornikiem, zwierciadłem) długości około 2 km (średnica pierścienia wynosi 600 m, co zresztą zostało uwidocznione w nazwie instrumentu). W porównaniu z największym do tej pory 300-metrowym radioteleskopem w Arecibo na Puerto Rico, jest to rzeczywiście gigant. Antena składa się z blisko tysiąca (ściślej: 895) oddzielnych aluminiowych tarcz o wysokości 7,4 m, szerokości 2 m. Zadziwia ruchliwość elementów tej skomplikowanej konstrukcji: wszystkie elementy razem i każdy oddzielnie mogą obracać się wokół osi poziomej i pionowej, a także przemieszczać się po promieniu pierścienia. Można przebudowywać tarcze z okręgu w elipsę, a jeśli trzeba – w parabolę, w zależności od tego, na jakiej wysokości nad horyzontem znajduje się obserwowane źródło promieniowania. Analogia do radioteleskopu w Arecibo chyba zbyteczna: tamten jest nieruchomy.

O wysokim mistrzostwie konstruktorów RATAN-a świadczy i to, że wymagana forma powierzchni (promień krzywizny) każdej tarczy wykonana została z dokładnością do 0,2 mm. Bardzo ważna charakterystyka. Właśnie ona mówi o możliwości odbioru nawet milimetrowych fal radiowych. Dla porównania: świetna paraboliczna antena (średnica 76 m) angielskiego radioteleskopu w Jodrell Bank posiada dokładność wykonania powierzchni 50-krotnie mniejszą, a mimo to też może odbierać fale milimetrowe.

Proces ogniskowania na RATAN-ie dla wygody został podzielony na dwa etapy. Najpierw sygnał odbija się od podstawowej powierzchni, czyli od pierścienia lub oddzielnych jego sektorów i pada na drugą antenę o rozmiarach 5×8 m. Znajduje się ona w pobliżu środka pierścienia i także może przemieszczać się po jego promieniu. Przy pomocy tego radiozwierciadła odbywa się końcowe, dokładne ogniskowanie. Dla tej dokładności przeznaczono cały arsenał współczesnych wysoko czułych urządzeń odbiorczych i pomiarowych. Ich najważniejsze elementy – radiometry – zostały skonstruowane przez specjalistów AN ZSRR i pod względem czułości nie mają sobie równych w świecie.

– RATAN-600 może „słuchać" nieba w paśmie fal od 8 mm do 30 cm, posiada oprócz tego jeszcze jeden rekordowy parametr – wysoką zdolność rozdzielczą. Do niedawna pod względem „ostrości" radioteleskopy ustępowały wyraźnie swym optycznym „pobratymcom". Ale oto pod względem wielkości powierzchni odbierającej fale radiowe, a więc pod względem czułości RATAN-600 sześciokrotnie przewyższa najmocniejszy ze zbudowanych wcześniej teleskopów zwierciadłowych – mówi Jurij Parijskij, doktor nauk matematyczno-fizycznych, zastępca dyrektora specjalnego obserwatorium astrofizycznego AN ZSRR, kierujący obecnie szeregiem eksperymentów na RATAN-ie.

Słów kilka o zastosowaniach nowego radioteleskopu. – My, astronomowie, nie wiemy, jak wygląda niebo w paśmie fal krótszych od 21 cm – mówi dalej Jurij Parijskij. – Sektory północny i południowy nastroiliśmy na odbiór tak zwanego promieniowania reliktowego (szczątkowego) od kończących swe istnienie galaktyk. To odkryje zasłonę nad przeszłością wszechświata, „pierwszymi krokami" w jego ewolucji – dodaje naukowiec.

Jest również nadzieja, że w niedalekiej przyszłości RATAN-600 pomoże bardziej szczegółowo poznać wszystkie podstawowe ciała Układu Słonecznego: planety, największe satelity planet, bliskie asteroidy i oczywiście źródło ludzkiej wegetacji – Słońce.

(Materiały do artykułu zaczerpnąłem z radzieckich czasopism: „Sputnik" nr 11/1976 oraz „Junyj Technik" nr 8/1976 r.)

Waldemar Puszkarz
Rozbórz 293
37-200 Przeworsk

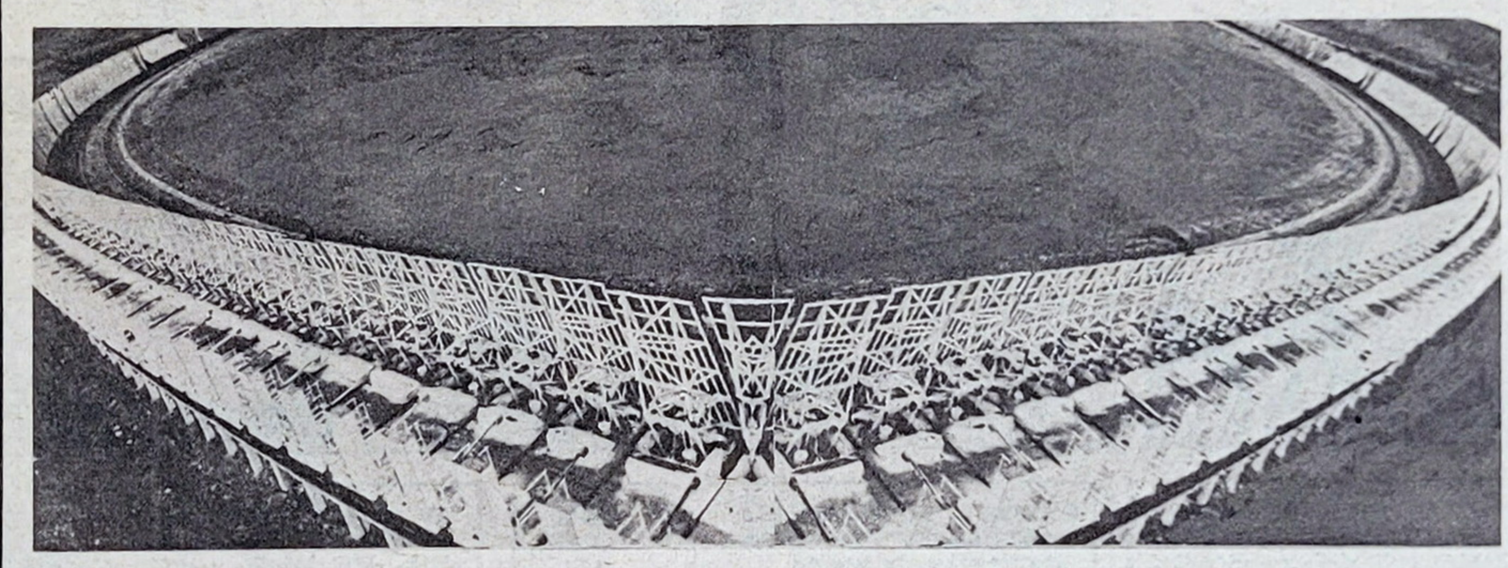

Pierwszy krok został zrobiony

W 141/76 numerze „ŚM" natrafiłem na list kol. J. Rzeźnikowskiego. Nie zgadzam się z jego twierdzeniem, że loty międzyplanetarne są niemożliwe. Osobiście bardzo nie lubię tego słowa dlatego, że moim zdaniem wymawiają je ludzie, którzy nie starają się, aby ta rzecz „niemożliwa" stała się „możliwa".

Człowiek w sensie fizycznym rzeczywiście nie dotarł dalej niż do Księżyca, lecz twory ludzkiej ręki osiągnęły już Wenus i Marsa oraz znalazły się w pobliżu Jowisza. Planowane są loty na Marsa. Oczywiście są to minimalne odległości w porównaniu z przestrzenią kosmiczną, lecz to wszystko odbyło się w ciągu dziewiętnastu lat! Najważniejsze, że pierwszy krok został zrobiony, dalsze pójdą łatwiej.

W nauce nie należy mówić „niemożliwe", gdyż w tej dziedzinie ostatnie słowo nigdy nie zostanie wypowiedziane.

Waldemar Cichosz
22-113 Kamień, woj. Chełm

PS. Chętnie nawiążę korespondencję na tematy astronomii i astronautyki.

Znaczki TOMIKA otrzymują:

Henryka Gołucka, ul. Suwalska 71, 82-300 Elbląg; **Andrzej Dawid Höhn,** ul. Cicha 20a/32, 85-650 Bydgoszcz; **Piotr Tatar,** ul. Wyzwolenia 5a/6, 14-300 Morąg; **Zbigniew Kozioł,** Łapiguz 1, 22-416 Sitaniec; **Artur Bracławski,** ul. Waszyngtona 16/4, 81-342 Gdynia; **Zbigniew Lewko,** ul. Żeliwna 41, 81-159 Gdynia; **Marek Machander,** ul. Włókniarzy 3/1, 34-120 Andrychów; **Mirosław Suszek,** Al. A. Zawadzkiego 31 m 15, 42-200 Częstochowa; **Marek Witczak,** ul. Babina 5 m 20, 62-800 Kalisz; **Jacek Szeszko,** ul. Gruntowa 5 m 66, 15-706 Białystok.

przyjeżdżała, a gdy wreszcie ich odwiedziła, nie miała dla brata czasu.

Naturalnie Feliks Pietrowicz nieraz proponował swoją pomoc Sierioży. Ale ten odmawiał kategorycznie.

– Ja sam. Przyłożę się... Będę się starał – zapewniał nauczyciela i jak torreador na rozwścieczonego byka, rzucał się na swą nieszczęsną krowę.

Pewnego razu wszechobecny Waśka spotkał nauczyciela i jego nieodłącznego towarzysza na ulicy. Szli szybko. Lizus wysłuchiwał jakiejś opowieści i niósł pod pachą plik zeszytów.

Waśka poszedł za nimi krok w krok.

– Te gwiazdy mają taką gęstość, że przyciągają do siebie wszystko – co je otacza – opowiadał nauczyciel, krocząc po zaśnieżonej ulicy. – Nawet własne światło. I nie widzimy żadnego promieniowania. Te gwiazdy są czarne. Nazywają je „czarnymi dziurami".

– „Czarnymi dziurami! – wykrzyknął Sierioża Sorokin. – Dlaczego?

– Dlatego, że wszystko mogą pochłonąć.

– A naszą Ziemię też?...

– Jeśliby Ziemia zbliżyła się do takiej super gęstej gwiazdy, ta przyciągnęłaby ją i połknęła. Ale, na szczęście, „czarne dziury" są daleko od nas.

– To dobrze, że daleko! – ucieszył się chłopiec, jakby bezpośrednio zagrażało mu wpadnięcie w taką „dziurę". Zaraz potem zapytał:

– A jak pan dowiedział się o podziemnej rzece?

Skąd nauczyciel wiedział o tej rzece Waśce już nie udało się usłyszeć. Skręcił w lewo, a oni poszli prosto. I Waśka doszedł do wniosku, że Sierioża podlizuje się nauczycielowi, by ten opowiadał mu różne niestworzone historie. „Czarne dziury" – też wymyślił!

Gdy zaczyna pokapywać deszcz, na żółtym piasku otaczającym jezioro pojawiają się ciemne plamki i brzeg staje się podobny do skóry cętkowanego zwierza. Może, rzeczywiście rozciągnął się taki nad wodą, i to nie fale rytmicznie wznoszą się i opadają, a dyszy śpiące zwierzę? Tak rozważał Sierioża Sorokin idąc do lasu na borówki. Deszcz zmoczył mu ramiona i włosy. Należałoby wracać do domu, lecz on przyspieszył kroku i wkrótce znalazł się w lesie. Las był błotnisty, o niskim poszyciu. Małe, krzywe brzózki rosły na przemian z sosenkami. Unosił się odurzający zapach traw. Gdzieś z gorących błot ciągnął dymek, którego gorzkawa woń wprawiała w przygnębienie.

Borówek było dużo. Pałały jak iskierki rozsypane po ziemi, wystarczyło tylko się schylić.

Nagle w gęstwinie rozległ się wystrzał. Rozniósł się po lesie niczym głośne smagnięcie z bata. Sierioża mimowolnie ruszył z trwogą w tamtym kierunku. Potem znów dał się słyszeć huk i znowu... Trwożne przeczucie przynagliło chłopca, i zaczął biec. I wtem zupełnie blisko usłyszał znajomy głos:

– Nie boję się was... To wy się mnie boicie, zasłaniacie się bronią. Był to głos Feliksa Pietrowicza. Chłopiec poznał go. Przeskoczył z kępy na kępę, rozgarnął gałęzie i zobaczył nauczyciela. Feliks był blady. Jego oczy płonęły jak w gorączce, lewą ręką podtrzymywał nadgarstek prawej. Przed nim stało dwóch z karabinami przygotowanymi do strzału. Jeden wysoki w gumiakach i w zatłuszczonej furażerce, odpowiedniej na wszelkie okazje, drugi niższy i tęższy, w skórzanej kurtce.

– Idź swoją drogą – głucho rzekł wyższy.

– Poszedłbym, lecz wy stoicie na mojej drodze, i w żaden sposób nie mogę przejść – odparł nauczyciel. – A zabijać wiewiórek nie pozwolę wam. Ludzie karmią je z ręki.

– Jaki dobry! – wtrącił ubrany w skórę.

– Wokół są tylko brzozy i pagórki – mimochodem zauważył wysoki w furażerce – można celować do wiewiórki, spudłować i – „nieszczęśliwy wypadek" gotowy?

Po was wszystkiego można się spodziewać – oschle odrzekł nauczyciel i obejrzał się, jakby miał nadzieję, że kogoś zobaczy. – Dla was morderstwo jest jak ugaszenie pragnienia. Jaki macie pożytek z takiej wiewiórki? Nawet się z niej czapki nie uszyje.

– Starczy tej rozmowy! – krzyknął wysoki. – Odejdziesz czy nie? – I podniósł strzelbę.

Sierioża Sorokin chciał się zapaść pod ziemię, zacisnąć oczy i zatkać uszy. Jak mógł pomóc nauczycielowi? Broni nie miał. I siły też nie te, co u tych dwóch... Lecz poczuł, że musi! Musi – i już!

Drgnęły gałęzie wierzby. Kropelki deszczu posypały się jak groszki. Na ścieżkę bezszelestnie wyszedł chłopiec. Nie krzyczał, nie biegł, nie wymachiwał rękami. Po prostu pojawił się nieoczekiwanie, przemoknięty, z włosami zlepionymi od deszczu, jak trawa trzymając w ręce kobiałkę z rumianymi borówkami.

– To ty? – spytał nauczyciel, i w jego głosie zabrzmiało raczej zdziwienie, niż radość. – Dużo nazbierałeś?

Kłusownik opuścił broń.

Cdn.

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Kazimierz Pasek, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzchołska.

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Mikrodziałowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne

Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna

Anna Dąbrowska

Zam. 1142/G F-85

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 POCZTOWY

Jurij Jakowlew

Podlizuch

1

Często wspominam Sierożę Sorokina. Jakiż on był mały. Jeszcze w trzeciej klasie suwał teczką po ziemi. A czytał ustami i palcami: ustami mruczał, a palcami wodził po linijce, przyciskając go ze wszystkich sił, jakby się bał, że coś mu się wymknie. Pamiętam jeszcze, że przezywano go lizusem.

Ale to już było w szóstej klasie, gdy przyszedł nowy nauczyciel języka rosyjskiego, Feliks. Tak też wszyscy go nazywali za plecami, choć miał również nazwisko po ojcu Pietrowicz.

Nie był podobny do innych nauczycieli. Włosy kręcone, rudawe i takiegoż koloru oczy: jasne, wyłupiaste, z cieniutkimi żyłkami na białkach. Twarz blada. Policzki zapadnięte, jakby je wciągnął.

Chodził szybko, prawie biegał, ruchy miał gwałtowne. W klasie było mu za ciasno: wiecznie wpadał na ławki, i zdarzało się, że jego własne krzesło, trafiwszy mu pod nogi, odlatywało aż po ścianę. Program szkolny też był dla niego za ciasny: oprócz tego co było w planie, opowiadał dzieciom o różnych dziwnych rzeczach. Na przykład, o podziemnej rzece, która przepływała głęboko pod szkołą. Opowiadał tak szczegółowo, jakby sam się w niej kąpał lub płynął kajakiem. Obiecał odnaleźć miejsce, gdzie niewidzialna rzeka wpada do jeziora.

Właśnie przez tego Feliksa Sierożę Sorokina zaczęli przezywać podlizuchem. Gdy nauczyciel wstawał, by zetrzeć z tablicy czasowniki lub zaimki, chłopak zrywał się z ławki i dosłownie wyrywał z rąk Feliksa ścierkę. Po klasówkach dobrowolnie odprowadzał nauczyciela pod dom, dźwigając ciężką paczkę z zeszytami. Zimą pomagał mu wkładać palto. Chodził za nim jak cień, za co spadał na niego grad kpin kolegów:

– Ej, podlizuch chcesz zarobić piątkę!

– Podsuń krzesełko!

– Narąb drzewa!

Chłopaki dręczyli go i jednocześnie szukali wyjaśnienia dlaczego nagle normalny chłopak – gołębiarz, zdolny do ucieczki z lekcji i bójki – dlaczego nagle stał się lizusem.

Wiadome było, że u Sierioży Sorokina sprawy z gramatyką mają się nie najlepiej. Wyraz karowa z uporem pisał przez „a". A taka mądrość, że czasowniki drugiej koniugacji w formie bezosobowej kończą się na „uti", była dla niego nieosiągalna. Czy nie dlatego, rozważali chłopcy, Sorokin stał się lizusem, by poprawić sprawy z pisownią?

Lecz gdy w kolejnym dyktandzie pojawiała się u Sierioży znienawidzona karowa przez „a", nauczyciel stanowczo stawiał dwójkę. Widać, to nieznośne bodące zwierzę zmuszało go do zapomnienia o staraniach chłopca.

Spuściwszy głowę i z roztargnieniem przyciskając do piersi nieszczęsny zeszyt, Sierioża wracał na miejsce, a wszyscy chichotali i wzruszali ramionami.

– Podlizuch – mrugał do niego pyzaty Waśka – starasz się starasz, a w zeszycie lufa. Ha – ha!

Sorokin od podłego śmiechu mrużył oczy, jak przy ostrym świetle, i pogroziwszy Waśce pięścią, milczący siadał w ławce. Nie miał nic do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie.

Lecz, nie bacząc na nic, pozostawał sobie wiernym: po tygodniu znów czekał na nauczyciela przy zaśnieżonym ganku i w milczeniu brał z jego rąk plik zeszytów, wśród których był też jego własny z pięcioma grubymi błędami. Trzeba powiedzieć, że nauczyciel, najwyraźniej, sam czuł się niezręcznie w tej sytuacji. Bronił się przed jego pomocą.

– Leć. Sam wezmę. Po co masz się narażać na kpiny?

– Niech tam! – uparcie mówił chłopiec i wsuwał rękę w szorstkiej rękawicy pod gruby sznurek, którym związane były zeszyty.

– Słuchaj, Sierioża – prosił go nauczyciel – przyłożyłbyś się do gramatyki. Postaraj się.

– Staram się – odpowiadał pechowiec. – Babcia dyktuje mi wieczorami... Dyktować może, ale błędów to nie widzi. Ale siostra przyjedzie na wakacje, ona jest na pedagogice. Niestety długo nie

Dokończenie na str. 7